

„Wielkie czasy wymagają wielkich ludzi” – napisał przed laty Jaroslav Hašek. Na szczęście czasy rzadko bywają wielkie, ale one też mają skromnych bohaterów na swoją miarę. Takim człowiekiem był traktorzysta Julek.

Dorastał w pegeerze, ale dopiero wojsko zrobiło z niego prawdziwego chłopca. Po raz pierwszy zobaczył wtedy kawałek Polski, poznał innych ludzi, ale - przede wszystkim - zrobił prawo jazdy na samochody i traktory. To ustawiło go zawodowo. Zaraz po jego powrocie do domu pegeer dostał trzy nowe traktory Ursus C-451 i Julek dosiadł jeden z nich. „Dosiadł” to właściwe słowo, bo Julek nim nie jeździł, ani go nie prowadził - on dosiadał go jak jeździec konia. Dbął też o niego jak o ukochanego wierzchowca. Jego maszyna była zawsze sprawna i czysta, a nieuniknione zadrapania czy wgięcia miała w miarę możliwości usuwane i zamalowywane. Doceniając to, dyrektor przydzielił Julkowi nową przyczepę i wyznaczył do reprezentowania firmy na nadchodzącym pochodzie pierwszomajowym.

Dzień wcześniej Julek wypucował traktor i przyczepę na błysk, po jednej stronie kabiny umieścił flagę biało-czerwoną, po drugiej czerwoną, a na burcie przyczepy umocował transparent z napisem: „PGR-y z Partią”. W dniu pochodu wygolony i w odświeżonym garniturze odpalił swoją maszynę, a na przyczepie usadowili się - równie uroczyście ubrani - wybrańcy załogi. Po ponad godzinnej jeździe polnymi drogami dotarli do miasteczka, gdzie wzięli udział w pochodzie. Gdy tylko pochod się skończył, transparent i flagi wylądowały na dnie przyczepy, a w ruch poszły butelki ukrywane dotąd za pazuchami pasażerów. Tak zaczęło się właściwe świętowanie, czyli wielogodzinny powrót do domu mocno zakrapiany alkoholem i przerywany dłuższymi lub krótszymi postojami. Julek pociągał po drodze na równi z pasażerami, co jednak nie przeszkodziło mu w szczęśliwym dowiezieniu rozbawionego towarzystwa na miejsce. Zresztą Julek uważał, że „wódka jeszcze nikomu nie zaszkodziła, ino trza umieć pić”.

Przejazd w kolumnie pochodu tak udekorowanego pojazdu bardzo się spodobał władzom i nazajutrz dyrektor otrzymał pochwałę z komitetu partii. Od tamtego dnia Julkowy traktor stał się poniekąd pojazdem reprezentacyjnym firmy, a on sam człowiekiem do specjalnych poruczeń. Rzadko był wysłany do pracy na polach, a częściej do miasteczka lub nawet do odległego o dwadzieścia kilometrów powiatu. Jeździł na dworce kolejowe, do różnych magazynów i urzędów, gdzie załatwienie spraw często zależało od widzimisię urzędnika z okienka. Julek umiał dogadywać się z ludźmi i szybko nauczył się funkcjonować w tym bałaganie. Wystarczało na przykład jakiemuś naczelnikowi coś gdzieś podwieźć, żeby od następnego razu być obsługiwanym poza kolejką i mieć czas na załatwianie różnych lewizn. W tamtych czasach mało kto miał auto, taksówek bagażowych prawie nie było, więc usługi transportowe były w cenie. Julek woził więc ludziom meble ze sklepów, cegły na budowy i kradzione drewno z lasu. Doskonale się do tego nadał, bo nigdy o nic nie pytał, dojeżdżał do każdego miejsca, kasował pieniądze i znikał. W ten sposób dorabiał sobie drugą pensję.

Julek był zawsze do dyspozycji, więc nie tylko kierownictwo, ale i szeregowi pegeerowcy mogli w każdej chwili liczyć na jego pomoc.

Gdy pewnego dnia jedna z pracownic dostała bólów porodowych, dyrektor kazał Julkowi zawieźć ją na porodówkę. Położnicę ułożono na wymoszczonej siennikami i pierzynami przyczepie, obok niej siadły dwie kobiety, a Julek wskoczył za kierownicę.

– Tylko uważaj! Rodzącą wiesz, nie siano! – krzyknął jeszcze dyrektor.

– Sie wie – odpowiedział traktorzysta i ruszył, jak umiał najostrożniej.

Podróż przebiegła szczęśliwie i „karetka” dotarła pod ośrodek zdrowia. Tam Julek przepchnął się przez zatłoczoną poczekalnię i wszedł bez pukania do gabinetu lekarskiego.

– Nie wchodzić! Czekać w kolejce! – warknął lekarz osłuchujący właśnie pacjenta.

– Nie ma na co czekać – powiedział traktorzysta. – Babę rodzącą z pegeeru przywiozłem. Gdzie podjechać?

– Czym pan ją przywiózł? – zapytał zaskoczony lekarz.

– Traktorem, na przyczepie.

Usłyszawszy to, lekarz zostawił niedobadanego pacjenta i pobiegł do przyczepy, gdzie właśnie już na dobre rozpoczynał się poród.

Na szczęście wszystko poszło dobrze i po kilku dniach Julek mógł paradnie przywieźć do domu szczęśliwą matkę z dzieckiem.

Innym razem stary kowal nagle poczuł się tak źle, że poprosił o ostatnie namaszczenie. Partyjny dyrektor nie mógł oficjalnie posłać nikogo po księdza. Udał jednak, że o niczym nie wie i Julek pojechał. Na plebanię dotarł pod wieczór.

– A czegoś ty człowieku, tu szukasz o tej porze? Nie możesz to, przyjść jutro? – zapytał proboszcz, wyraźnie niezadowolony, że zakłócono mu wieczorny spokój.

– Tam u nas w pegeerze stary Joniak bardzo się rozchorował i potrzebuje ostatniego namaszczenia. No to przyjechałem traktorem, żeby księdza zawieść. To nie daleko, raz dwa oblecimy.

– No tak. Jak trwoga, to do Boga – oburzył się ksiądz. – A w niedzielę czy święta to żadnego pegeerowca w kościele nie ma. Żyjecie tam jak bezbożniki, a teraz chcecie komunii świętej!

– Ja tam nie wiem, czy Joniak jest bezbożnik czy nie, ale wiem, że umierającemu komunii się należy – odpowiedział zdecydowanie Julek. – Jak ksiądz nie chce jechać, to niech mi da komunie do jakiego pudełeczka, to mu sam zawiozę.

W obliczu takiej postawy ksiądz - aczkolwiek niechętnie - odpowiedział:

– No, dobrze. Pojadę. Poczekaj tu chwilę aż się przygotuję.

– Fajnie! Widać, że z księdza dobry człowiek – ucieszył się Julek. – Ino niech się ksiądz dobrze ubierze, bo kabina jest brezentowa i pędzi w niej jak cholera. I pod dupę niech se ksiądz coś weźmie, bo trza będzie siedzieć na błotniku, a ksiądz pewno tego nie zwyczajny – dodał z troską w głosie.

Po dłuższej chwili proboszcz okutany jak niedźwiedź usadowił się obok Julka i ruszyli po polnych wybojach. Do chorego dotarli już po ciemku.

Po jakimś czasie kowal wyzdrowiał, o czym ksiądz nie omieszkał powiedzieć na kazaniu. Mówił szeroko

o Bożym miłosierdziu okazanym pegeerowskiemu bezbożnikowi i jego cudownym uzdrowieniu. Julek zaś przy piwie dowodził, że gdyby nie on, to żadnego cudu by nie było.

Julkowy status człowieka do specjalnych poruczeń miał też i złą stronę. W tym czasie bowiem, gdy on hulał po brukach i asfaltach, inny traktorzyści tłukli się po polach i łąkach, grzęznąc nieraz po osie w błocie. Dlatego nie był on przez kolegów lubiany i uważany za dyrektorskiego przydupasa.

Julek niewiele się tym przejmował, bo dzięki swojej pozycji zarabiał na lewo pieniądze i miał sporo swobody. Polecenia wyjazdu otrzymywał od różnych ludzi, którzy rzadko to między sobą uzgadniali. Praktycznie mógł więc prawie bez kontroli wyjeżdżać i wracać kiedy chciał.

Gdy któregoś ranka nie pojawił się w pracy, wszyscy myśleli, że przenocował gdzieś po drodze i zaraz przyjedzie. Nie przyjechał. Wtedy dyrektor przepytał kogo trzeba i okazało się, że Julek wyjechał samowolnie. Sprawa zaczynała śmierdzieć. W nadziei na powrót zabłąkanej owieczki odczekano jeszcze dzień i dopiero potem powiadomiono władze o zniknięciu człowieka i pojazdu. Milicja i prokuratura stawały na głowach, żeby poznać przyczyny i przebieg tego zdarzenia. Bezskutecznie. Dla postrachu ukarano więc w pegeerze kilka osób, dyrektor dostał naganę partyjną i sprawę wyciszono.

Zdewastowany traktor odnaleziono kilka miesięcy później na drugim końcu Polski, a o Julku wszelki śluch zaginął.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 29.04.2023 14:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.